

Philippe Jaenada



**PRZESTĘPCA
Z ZASADAMI**

BIOGRAFIA SUBIEKTYWNA

Prolog

To ile za tego psa w witrynie? Hau! Hau! Na gramofonie w restauracji Krief w Sidi Bu-l-Abbas siostrzenica szefa włącza ostatnią płytę Line Renaud o prędkości siedemdziesięciu ośmiu obrotów na minutę, która pojawiła się w sklepach zaledwie dwa miesiące temu. Dziewczyna ma na sobie zwiewną czerwono-białą sukienkę. Młody legionista od tygodnia przychodzi tu każdego dnia i siada przy stoliku w głębi sali, nie spuszczać z dziewczyny wzroku, chociaż robi to dyskretnie. Ten przystojny blondyn o niebieskich oczach, bez prawej ręki, wreszcie po raz pierwszy odważył się do niej odezwać: poprosił, aby wybrała dla niego jakąś płytę, tę, na którą będzie miała ochotę. On nazywa się Stanislas Sulak, ma dwadzieścia dwa lata. Ona nazywa się Marcelle Amoyel i tak jak on ma dwadzieścia dwa lata. Zawierowała biało-czerwoną sukienką, lekko rozbawiona podeszła do płyt i trochę przypadkowo wybrała spośród nich okładkę z *Chien dans la vitrine*, wielki szlagier tamtych czasów. Stanislas powróci tu nazajutrz i poprosi ją o tę samą płytę, a potem dzień później znowu, i znowu, i codziennie, po południu, prosić ją będzie o tę samą płytę, którą dla niego włączy, chociaż żadne z nich, rzecz jasna, nawet nie przeczuwa, że pewnego dnia, a odległy to jeszcze dzień, mały piesek zmieni się w panterę. W

panterę w witrynie. Ich syn nie zapyta nawet, ile ona kosztuje.

Pięćdziesiąt dziewięć lat później, w kąciку na pierwszym piętrze café de Flore, śliczna młoda brunetka rozmawiać będzie po angielsku z młodym, jasnowłosym Holendrem. Oboje zamówili to samo, napar z werbeny. Kiedy powoli miesza łyżeczką w wielkiej filiżance, jej spojrzenie gubi się gdzieś w pustce nad stołem, tak jak cukier rozpuszcza się w filiżance i jak piosenki Line Renaud rozplývają się w odległej przeszłości. To wnuczka Marcelle i Stanisława, Amélie Sulak. Siedzę ze szklanką piwa półtora metra dalej, udając, że czytam gazetę, ale słucham, o czym mówią. Nie wszystko rozumiem. Wydaje mi się, że rozmawiają o jakichś fotografiach, o stromym wybrzeżu, o jakiejś wspinaczce, ona się uśmiecha. Umówiłem się z nimi, a przede wszystkim z nią na spotkanie, ale nie wiem już sam, co mi strzeliło do głowy, gdy ją rozpoznałem (widziałem jej zdjęcie w internecie), bo nie potrafiłem zdobyć się na odwagę, aby do nich podejść i odezwać się, zasiadłem więc mimowolnie przy sąsiednim stoliku, odpychany przez już sam nie wiem jaką siłę, która nie pozwalała mi im przeszkadzać. No a teraz, to jasne, jest już za późno, gdyż minęło co najmniej pół godziny: jeśli się do nich odwrócę i przedstawię, wezmą mnie za wariata.

Wysoki kelner w czerni i bieli podchodzi do mnie, zamawiam jeszcze jedno piwo, gdy prawie jednocześnie Amélie wyciąga do niego banknot dwadzieścia euro i paragon, zbierając się do wyjścia, a nas na dwie sekundy połączył ten wielki, chudy kelner. Kiwa głową w moją stronę, oddaje jej resztę, niedużo tego jest, a potem oddala się zmęczonym, ale profesjonalnym krokiem i idzie schodami prowadzącymi na parter café de Flore, daleko od restauracji Krief w Sidi Bu-l-Abbas i tamtego gramofonu.

A tymczasem w ciągu pięćdziesięciu dziewięciu lat wielu ludzi się urodziło, wielu ludzi zmarło, było wielu ludzi bardziej lub mniej dobrze nastawionych do życia, bardziej lub mniej

wrażliwych, na ziemi pojawiło się wielu ludzi, którym poszczęściło się bardziej lub mniej, a wśród nich był też Bruno Sulak.

1

Bruno Sulak, przykładowy żołnierz Legii Cudzoziemskiej, magik i gangster w tenisowym stroju, człowiek, który ukradł panterę, Bruno Sulak, wieczny uciekinier, urodził się w Sidi Bu-l-Abbas w Algierii 6 listopada 1955 roku o godzinie 15.10. Jego ojciec, Stanislas, urodził się dwadzieścia pięć lat wcześniej w Foug, niedaleko Toul, na wschodzie Francji. Jego dziadek zaś urodził się w Krakowie na początku roku 1900.

Dziadek był w Polsce policjantem, a w soboty i niedziele grywał na skrzypcach. Jako chłopski syn całkiem nieźle sobie poradził: wyrwał się ze wsi i wspinał się coraz wyżej po szczeblach kariery, by cieszyć się uznaniem, jaki dają mundur i muzyka; potem spotkał Ukrainkę, która uciekła ze swoich rodzinnych stron, gdy na te tereny wkroczyła Armia Czerwona, i urodziła mu dwójkę dzieci, syna i córkę. Jednak po dwóch latach wojny z bolszewicką Rosją i sześciu miesiącach złudnej demokracji Polska kojarzyła się z rajem tylko najbardziej żarliwym patriotom: gdziekolwiek indziej żyłoby się zapewne lepiej. Nic zatem dziwnego, że na początku lat dwudziestych małżonkowie z dwójką brzdąców wyruszyli do Francji, zabierając z sobą zaledwie kilka walizek, które postawili wreszcie niedaleko Tours,

bo tam akurat kogoś znali. W walizce nie było munduru, bo nie można przecież być polskim policjantem na własny rachunek. Zresztą nie dano im wyboru drogi życiowej: mogli zostać robotnikami rolnymi albo niczym. Zgoda. Robotnik rolny, tak było lepiej. Pracy nie brakowało, bo podczas I wojny światowej większość francuskich chłopów posłużyła za mięso armatnie, miejscowi nawet z zadowoleniem ich przyjęli, więc w sumie mieli sporo szczęścia. Pracowali od piątej rano do dziesiątej wieczorem (tak jakby Pana Boga złapali za nogi), a że byli emigrantami, to protestować mogli tylko po cichu, i to nocą. Przy takiej harówce skrzypce bardzo szybko stały się męczącym luksusem, a smyczek ważył z tonę. Mundur i muzyka pozostały zatem w szufladzie przyjemnych wspomnień obok pożółkłej fotografii rodziców, którzy zostali w ojczyźnie, złamanego wiecznego pióra i starych kluczy, które nie wiadomo już, co otwierały. Odtąd ich życie było uprawianiem ziemi, w błocie i z karkiem schyłym od świtu do zmierzchu, tak więc znowu znaleźli się w punkcie wyjścia. Przeszłość zawsze nas dogoni, zwłaszcza gdy staramy się przed nią uciec.

Jednak dumny dziadek Sulak mimo wszystko trochę się od tego odciął. Za radą jednego ze swoich ziomków wyruszył do pracy w zakładach odlewniczych w Pont-à-Mousson, między Toul a Metzem, a tam pozwolono mu wykonywać trudny, ale zarazem szlachetny zawód hutnika. Daleko było wprawdzie temu zajęciu do finezji gry na skrzypcach, ale też i do roboty na kartoflisku. Wytapiać surówkę oznaczało również stawić czoło czemuś silniejszemu od niego, i to mu się podobało. To znaczy do pewnego stopnia. Tak czy inaczej, stał się ekspertem od potężnych spustów surówki, zrozumiał, że poświęci resztę życia wytapianiu żeliwa, znalazł więc niewielki dom w Foug, na skraju lasu, który dzisiaj stanowi część regionalnego parku przyrodniczego Lotaryngii, dom bardzo skromny i może

niespecjalnie urokliwy, ale za to z ogródkiem, gdzie można było posadzić sałatę i warzywa (bo, cokolwiek by o tym mówić, ogródek zawsze się przyda). Sprowadził tam rodzinę, która miała rozrosnąć się wręcz spektakularnie: Ukrainki są bardzo płodne. Jego żona urodziła mu więc jedenaścioro dzieci, z których jedno zmarło zaraz po urodzeniu, a dwoje w wieku dorastania. Pozostałe w każdym razie wyrosły na krzepkich i dzielnych Polaków. Wśród nich była Marie, najstarsza siostra, która na zawsze miała pozostać dla braci mużką, światłem i madonną (zresztą później wyjdzie za męża za Josepha), no i był również Stanislas.

Odkąd mógł utrzymać w ręku motykę, Stanislas, tak jak jego bracia i siostry, pomagał w ogródku warzywnym rodzicom (dla których „czas wolny” był pojęciem z gatunku science fiction). Nie podobało mu się to wcale bardziej niż jego ojcu, lecz cóż było robić. Pracowała cała rodzina. Żyli skromnie, ale każdego dnia jedli do syta, ojciec tylko na to pracował. Ich ubrania nie były ani zbyt dobrej jakości, ani modne, chociaż zawsze schludne i czyste, a matka pracowała wyłącznie po to właśnie. Była kobietą wielkiego serca i wielkiej odwagi, pierwsza wstawała rano, by przygotować śniadanie, a kiedy inni poszli już do roboty lub do szkoły, zabierała się do pracy w ogródku albo w domu, sprzątała, prała albo cerowała (z całą tą czeredą, można by rzec, właściwie sama prowadziła dyskretny jednoosobowy warsztat), kładła się wieczorem ostatnia, kiedy wszystko już posprzątała, aby następny dzień mógł zacząć się niczym niesplamiony, dziewiczy. Któregoś dnia, kiedy Stanislas kopał w ogródku, odnosząc wrażenie, że nie posuwa się w ogóle do przodu, i mając już tego wszystkiego powyżej uszu, wyprostował się i odwrócił do ojca. A ten, pewnie całkiem odruchowo, ustawił go jak należy:

– Patrz przed siebie, patrz na to, co zostało do zrobienia, a nigdy nie oglądaj się za siebie.

To pozornie błahe zdanie wypowiedziane znużonym i być

może nieświadomie tęsknym głosem w niedzielne wiosenne popołudnie w Lotaryngii tuż przed wybuchem II wojny światowej miało towarzyszyć Stanislasowi przez całe życie, ale przede wszystkim miało ono w magiczny sposób przetrwać do następnego pokolenia i pokierować życiem jego syna Bruna – słynnego bandyty, nieuchwytnego złodzieja, który uprawiać będzie swój ogródek na własny sposób, tak naprawdę nigdy nie mając wyboru i będąc zmuszonym zawsze patrzeć wyłącznie przed siebie.

Kiedy miał piętnaście lat, już po wojnie i po ukończeniu szkoły, która zupełnie nie wzbudzała w nim emocji (za mało się działo), Stanislas schował swoje szkolne świadectwo i porzucił dalszą edukację. W naturalny sposób zatrudnił się w tej samej co ojciec hucie, gdzie skierowano go do produkcji klocków hamulcowych do lokomotyw. W ogóle mu się to nie podobało – nie tyle może nawet chodziło o same klocki do lokomotyw, bo właściwie nie miał nic przeciwko klockom do lokomotyw, ale nie znosił tego rodzaju wyczerpującej i monotonnej pracy, no i tej atmosfery, w której musiał spędzać całe dni: traktowano go jednocześnie jak dzieciaka i Polaka (a więc jak kogoś, kim naprawdę był, chociaż uważał się już za człowieka niemal dorosłego i Francuza – w domu mówiono tylko po francusku, żeby się dostosować do otoczenia), jego szef był ponurym typem, zawziętym i zarozumiałym kurduplem, pełnym pogardy i pogardzanym, który mścił się za swoją szarą egzystencję, na kim tylko mógł. I wreszcie, jakby tego było mało, Stanislas nie zarabiał prawie nic, gdyż ze względu na wiek był opłacany gorzej od innych. Z jednej strony już wtedy się nudził, a z drugiej coraz bardziej się irtował. (Trzydzieści lat później jego syn będzie odczuwać dokładnie to samo, pracując za barem w knajpie na dworcu Saint-Charles w Marsylii, ponieważ swym dzieciom przekazuje się coś więcej niż tylko grupę krwi i kształt uszu). Jego ojciec, dawny policjant pogodzony z losem, starał się go

uspokoić i przywołać do porządku:

– Od czegoś trzeba zacząć, takie jest życie.

Tyle że Stanislas Sulak nie bardzo miał ochotę na takie właśnie życie, co to, to nie. Skoro jego ojciec był teraz całkiem spętany (musiał wyżywić chmarę dzieci, więc nie mogło to nie wpływać na jego decyzje), postanowił, że niejako zamiast niego pieprznie tym wszystkim z hukiem. (Owszem, pewnie, że gdyby się żyło trzysta lat, byłby wtedy czas na naukę, na zrozumienie swoich słabości i popełnionych błędów, na wyciągnięcie odpowiednich wniosków, na zmianę drogi życiowej, i dziadek pewnie by to zrobił, gdyby miał przed sobą jeszcze dwieście sześćdziesiąt lat, ale niestety nie żyje się aż tak długo. Dzieci, jeśli są sprytnie, mogą stać się przedłużeniem swych rodziców, tyle że w innej, bardziej rozwiniętej i przemyślanej formie). Po roku niepotrzebnych wysiłków i upokorzeń odszedł wreszcie od maszyny i skierował swe kroki do małego biura szefa, nie wiedząc jeszcze za dobrze, czy idzie tam, by zaprotestować, czy żeby powiadomić go o swoim odejściu. Wchodząc do biura, nie zdjął z głowy beretu. Ponury mruk wreszcie raczył podnieść wzrok i powitał go ostro:

– Jak się staje przed moim biurkiem, to się beret ściąga z głowy!

– Ach tak? No to ja ci zaraz odstawię to biurko.

I całkiem spokojnie Stanislas złapał oburącz metalowe biurko i walnął nim z całej siły o ścianę, po czym rozleź się jesienny szelest spadających kartek i zaraz potem Stanislas bez słowa, z godnością wyszedł z biura, nie rzucając na odchodnym czerwonemu z wściekłości szefowi jałmużny w postaci stymulującego trzaśnięcia drzwiami, by ten kurdupel nie mógł sobie pomyśleć, że racja jest po jego stronie. Od tej chwili Sulakowie nie pozwolą sobą pomiatać, ale unosić się będą zawsze z elegancją. W głębi duszy jego syn Bruno go za to podziwiał.

2

Wysłuchawszy od ojca kilku stosownych i łagodnych wyrzutów, Stanislas zaczął się zastanawiać, co też będzie dalej robił. Wyruszenie gdzieś przed siebie pozostawało zawsze jednym z możliwych rozwiązań (tak właśnie pomyśleli sobie w Polsce jego rodzice), więc tuż przed siedemnastymi urodzinami udał się samotnie na południe, gdzie podobno miało być lepiej. Ale los dopadł go, zanim jeszcze wyruszył w drogę: ponieważ Polakom nie wolno było robić tego, co chcieli, i tam, gdzie chcieli, więc gdy opuszczał Lotaryngię, wydano mu kartę robotnika rolnego (przekleństwo) i kazano mu się z tego cieszyć. Kiedy dotarł do Salon-de-Provence, natychmiast zatrudnił się – bo cóż innego mu pozostawało – u miejscowego rolnika, który, jako że niespodzianki są raczej czymś rzadkim na tej ziemi, nie był szczególnie elastyczny, jeśli chodzi o godziny pracy, ani też nadmiernie hojny w kwestii wynagrodzenia. No i cóż? Ano jedziemy znowu z motyką! Oj, warto było jechać na drugi koniec Francji.

Pod pozorami wymuszonej uległości Stanislasa najbardziej ciągnęło do sportu, a w szczególności do boksu. Był szybki i dobrze zbudowany, ważył siedemdziesiąt sześć kilogramów, więc mógłby uchodzić za całkiem niezłego zawodnika wagi

średniej. I właśnie dlatego, kiedy kilka miesięcy później usłyszał od kogoś o sali sportowej w Miramas, gdzie czekali na świeżą krew i pięści, natychmiast olał rolnika i udał się do sąsiedniego miasteczka, zabrawszy swoje oszczędności (dobrą stroną pracy, w której haruje się jak wół po piętnaście godzin dziennie, jest to, że nie ma ryzyka, iż przepuści się wszystko na rozrywki), zapisał się na boks i zaczął szukać jakiegokolwiek pracy, byleby tylko nie było to znowu kopanie kartofli. Ale pierwszy pracodawca, który nie spuścił go po brzytwie (tutaj wszyscy chętnie obnosili się ze swoją pogardą, podczas gdy w takiej Lotaryngii, no, może z wyjątkiem tego złośliwego buldoga z odlewni, większość ludzi raczej okazywała zrozumienie), podpowiedział mu uprzejmie, żeby zaszedł do merostwa, bo jest pewien problem. A tam jakiś zadowolony z siebie urzędnik, który zresztą przypominał tamtego buldoga, tyle że z ohydnyim południowym akcentem (Stanislas marszczył nieświadomie czoło, starając się zrozumieć, co też on do niego mówi), pokazał mu, gdzie jego miejsce:

– Ma pan kartę robotnika rolnego, ma pan pracować w rolnictwie, więc wróci pan na wieś.

Stanislas Sulak poczuł wyraźnie, że jeszcze trochę i nie wytrzyma. Wyciągnął obie ręce w stronę śródziemnomorskiego władcy ludzkich losów i powiedział:

– A ja mam może wypisane na rękach, że jestem chłopem?

– Nie jest pan przecież Francuzem i mówi się panu wyraźnie, że ma pan pracować na roli, więc będzie pan uprawiał ziemię i jeszcze mi pan ładnie podziękuje.

A niech idą do diabła, tak będzie najprościej. Tym razem Stan niczego w biurze nie zniszczył, tylko ze stoickim spokojem wyszedł (choć jeszcze tu wróci pewnego dnia, już mniej spokojny, i powie dwa słowa temu porządnemu obywatelowi w ubraniu z tergalu). Nie wrócił już na wieś. Wykorzystał

oszczędności, żeby poświęcić sześć następnych miesięcy na uprawianie boksu, dobrze sobie radził, lubił to, nie pracował, spacerował sobie, w ogóle to wiódł piękne życie na ulicach Miramas – i nie wiedząc o tym, ten beztroski chłopak na pewno przechodził obok domu, w którym kiedyś, ponad trzydzieści lat później, będzie się ukrywał jego syn.

Tyle że pieniądze, jak zresztą wszystko inne, wcześniej czy później się kończą, a nawet znacznie szybciej. Bez grosza przy duszy i bez żadnej nadziei na pracę poza wiejską katorgą, brukwią i całą resztą, zrobił to, co zrobiłby w jego sytuacji każdy sportowiec amator będący emigrantem, którego nie pociągały ani rozbój, ani kariera żigolaka, ani żebractwo czy sutanna: zgłosił się w Marsylii do Legii Cudzoziemskiej. Ale i tam pech go nie opuścił, a w każdym razie nie od razu, bo nie przyjęli go zbyt ciepło. Gdy tylko się pojawił, od razu zaczęli go podejrzewać jako Polaka, że pewnie przysłali go komuniści, żeby narobił trochę zamętu. No cóż, zdecydowanie bycie Polakiem nie było zbyt praktyczne. Próbował wprowadzić im tłumaczyć, że nawet nie zna polskiego, ale to ich za bardzo nie interesowało. Okropny cham, który miał rozpatrzyć jego kandydaturę, w niczym nie przypominał, przynajmniej z wyglądu, tych dwóch ujadających kundli z odlewni i z merostwa. A co gorsza, nie wyrażał swoich myśli wyłącznie za pomocą słów – w biurze, gdzie odbywał się nabór. Wychodząc z założenia, że lepiej zapobiegać, niż leczyć, zaczął bić Stanisłasa, wyzywając go od parszywych komuchów i śląc naprawdę niecenzuralne teksty pod jego adresem. Stanislas nie mógł mu oczywiście oddać, bo nie był na przyjaznym mu terytorium, a legioniści to nie aniołki, zwłaszcza gdy się ich zdenerwuje. Ale miał też za sobą dzieciństwo spędzone na wschodzie Francji, no i tych sześć miesięcy boksu, więc przyjmował ciosy bez zmruczenia oka i czekał tylko, aż się to skończy: stał dwadzieścia centymetrów od ściany i nie dotknął

jej głową ani razu. A to sprawiało, że napastnik był coraz bardziej rozjuszony i wściekły z bezsilności. Ciosy padały jak w Gravelotte, które jest położone całkiem blisko huty w Pont-à-Mousson (Stanislas czuł się więc prawie jak u siebie w domu, a ten głupi palant mógł sobie dalej w niego walić i walić).

Bicie wreszcie się skończyło z braku reakcji ofiary, poobijanego ciała, któremu w głowie kołatała się już tylko jedna myśl: „Ci goście są kompletnie porąbani”. Zrozumiał, że Legia Cudzoziemska nie jest dla niego. Zgłosił się do nich, nic złego nie zrobił, a oni masakrują mu twarz. Ci goście są nienormalni. Późnym popołudniem wypatrzył okno wychodzące na ulicę i pomyślał sobie, że właśnie przez nie ucieknie najbliższej nocy, a najpóźniej następnego dnia. Jednak w nocy wyczuł (instykt Polaka w niebezpieczeństwie), że nierozważnie byłoby szwendać się po tych ciemnych korytarzach, a nazajutrz rano, kiedy na apelu odpowiedział „obecny”, gdy wywołano jego nazwisko, wysłano go od razu do biura, gdzie czekały już na niego papiery do podpisania. Podpisał, nie mając odwagi rzucić się do ucieczki. Siedem razy złożył podpis na dole każdej z siedmiu stron. Potem pomyślał sobie: „Skoro podpisałem, muszę teraz to uszanować”. Tak więc zaciągnął się do Legii Cudzoziemskiej.

Nigdy nie wiemy, rzecz jasna, jakie będą konsekwencje naszych czynów, ale z perspektywy czasu możemy z całą pewnością stwierdzić, że tych siedem podpisów Stanislasa, który wtedy pomyślał sobie po prostu, że wpakował się w niezłą kabałę, wytyczyło z góry w najdrobniejszych szczegółach krótki żywot Bruna Sulaka.

3

Zaledwie po dwóch miesiącach szkolenia Stanisłasa wysłano wraz z 13. DBLE* do Indochin, gdzie było ostro, i już po tygodniu, a tyle czasu potrzebował, żeby zrozumieć, co jest grane, sytuacja wyglądała bardzo nieszczególnie: nagle trzystu legionistów znalazło się w potrzasku, bo otoczyło ich dwa albo trzy tysiące żołnierzy Viet Minhu. Musieli na nich ruszyć z bagnietami i przebijać się przez ludzką masę (podczas tego ataku na Wietnamczyków Stan, pełen wigoru i świeży jak żrebak, wysunął się jakieś trzydzieści metrów przed pozostałych – a przecież kimś, kto wcale nie miał ochoty wstępować do legii, taki chrzest bojowy musiał nieźle wstrząsnąć) i chociaż zostawili na polu walki pięćdziesięciu zabitych, to udało im się w końcu przebić.

O dziwo, Stan całkiem dobrze się czuł w gronie tych szaleńców, w męskim, wypełnionym braterstwem świecie, gdzie własne życie nie za bardzo się liczyło (to dobrze robi na głowę i pozwala się odprężyć), w przeciwieństwie do życia innych: jeśli któryś z

* 13. DBLE – 13ème demi-brigade de Légion étrangère (fr.) – 13. Półbrygada Legii Cudzoziemskiej.

nich znalazł się w tarapatach, nikt się nie przejmował ryzykiem, nikt nie myślał o sobie, wszyscy natychmiast ruszali z pomocą. Stan nie obawiał się śmierci, a w każdym razie nie myślał o niej (w drugiej zwrotce marszu Legii Cudzoziemskiej, w słynnej pieśni o kaszance i o Belgach, strzelcach do dupy, można usłyszeć te słowa: *W naszych dalekich kampaniach/ W gorączce i ogniu/ Zapomnijmy wraz z naszymi troskami/ Także o śmierci, która tak rzadko o nas zapomina*), i zawsze wchodził jako pierwszy do podziemnych kryjówek Viet Minhu, a kiedy kumple prosili, by uważał, i powtarzali mu, że w końcu straci tam życie, on im tylko odpowiadał: „Wiem przecież, że któregoś dnia zdechnę, jutro, może pojutrze, zobaczymy. Na życie dostaje się przepustkę, okaże się, na ile czasu mi ją wystawiono. Są przepustki krótkie i długie, to zależy od losu na loterii”. Jego przepustka była długoterminowa.

Nie miał też ochoty awansować w tej całej hierarchii, a status prostego legionisty całkowicie mu odpowiadał, było mu to obojętne, ale i tak legioniści go cenili, szanowali, gdyż były od niego siła, dobroć i pewność siebie, co robiło olbrzymie wrażenie na tych wszystkich, którzy się z nim stykali (jego syn, w głębi ducha bardzo nieśmiały, odziedziczył po nim tę niewytłumaczalną charyzmę), i czyniło z niego w sposób zupełnie naturalny – chociaż nie miał wcale jakiegoś szczególnego zamiłowania do władzy i rządzenia – przywódcę. Kapitan Cabeyron, dowódca kompanii, również darzył tego młodego człowieka autentyczną sympatią, lecz nie uważał przy tym za właściwe, aby jakiś zwykły szeregowiec dyrygował choćby częścią jego oddziału:

– Jeśli chcesz dowodzić, to w porządku, ale na razie dowodzić możesz tylko sforą psów. A jak ci się to nie podoba, pójdziesz do paki.

Zdyscyplinowany wtedy, gdy uznawał to za słuszne, przeszedł więc przewidzianą regulaminem drogę, zostając najpierw

kapralem, a potem starszym kapralem. Tak było bardziej logicznie.

Pewnego ranka, podczas akcji w jakimś buszu, którą kierował, zajmując jak zawsze najbardziej wysuniętą pozycję, wpadł do dołu z bambusami, w pułapkę, w jaką nikt na świecie nie miałby ochoty wpaść. Ale w sumie miał szczęście, bo zaostrome paliki przebiły mu tylko udo i pośladek. Musiało to być mniej przyjemne niż pocałunek tancerki, ale przecież mógł sobie równie dobrze przedziurawić brzuch albo gardło. (Miał więc sporego farta, bo była to zwykła, najbardziej prymitywna zapadnia. Tymczasem Wietnamczycy potrafili skonstruować znacznie bardziej wymyślne pułapki – Stanislas szanował Wietnamczyków, nawet ich lubił, uważał, że są odważni, sprytni, ale nie wredni – w których były strome ściany, całość wyglądała jak zjeżdżalnia, po której delikwent zsuwał się do fosy głębokiej na dwa metry i najeżonej zaostrozonymi palikami: nieszczęśnik wpadał więc do tego dołu obowiązkowo na plecy albo na brzuch). Jako dowódca jednostki musiał pokierować ludźmi i zorganizować akcję wyciągania z głębi dołu starszego kaprała. Nie można tego było zrobić w trzy minuty, bo nie ściąga się człowieka nadzianego na dwa bambusy jak oliwki z wykałaczki. Kiedy już znalazł się na powierzchni, co prawda w oplakanyam stanie, zakrwawiony, lecz przytomny, zdał sobie sprawę, że po raz kolejny miał więcej szczęścia, niż podejrzewał: tuż obok znajdowała się bowiem druga zapadnia, niemal identyczna, tyle że były w niej dodatkowo ukryte dwa granaty. Naprawdę niewiele brakowało, by jego przepustka na ziemi skończyła się właśnie tutaj. Jednak jeszcze nie tym razem.

Kiedy rekonwalescencja dobiegła końca, podążył za oddziałem, znowu z powodzeniem, a gdy był w stanie już normalnie chodzić, wyruszył do walki.

W tym samym czasie w Foug ojciec Stanislasa rozchorował się po raz pierwszy w życiu, w którym przecież nie brakowało ciężkich chwil. Były policjant i skrzypek w jednej osobie musiał

poddać się operacji usunięcia wrzodu żołądka; tak więc, nawet gdy próbujemy nie oglądać się wstecz, żal pozostaje i jak kwas draży ludzkie wnętrze. Dwa miesiące po operacji wrócił do szpitala, wciąż odczuwając silne bóle brzucha. Wkrótce potem lekarze wezwali jego żonę, piękną Ukrainkę, aby uprzedzić ją, że koniec jest już bliski, że mężowi nie pozostało więcej niż osiem dni życia i najbardziej ludzkim gestem będzie zabranie go do domu. Tam, w małym domku, który znalazł dwadzieścia dwa lata wcześniej, walczył nie przez osiem dni, lecz przez sześć długich miesięcy. Wytrzymał więc niczym kolos przez sześć miesięcy ze swymi wspomnieniami z Polski, swym ciałem wyczerpanym pracą na roli, swoją siłą wytapiacza surówki i przez sześć miesięcy opierał się pierwszej w swym życiu chorobie, aby umrzeć wreszcie w wieku pięćdziesięciu jeden lat.

Na drugim krańcu świata, gdzieś bardzo daleko, Stanislas zamartwiał się (myśląc o swoim „Tacie”), a jego ludzie wyruszyli z misją, aby zniszczyć zakład zbrojeniowy Viet Minhu, kiedy na prowadzącej do niego drodze, w wilgotnej i niepokojącej dżungli, natknęli się na gęste zarośla, które nagle wydały im się podejrzane. Wśród nich był pewien gość, dopiero co przybyły z Francji, który miał nad nimi objąć dowództwo, gdy już dotrą na miejsce. Ponieważ nie miał jeszcze wyczucia, nakazał legionistom wejść w te zarośla. Sierżant Stanislas odmówił wykonania rozkazu. Skoro ciągle jeszcze odpowiadał za oddział, postanowił jednak, że sam zanurzy się w te podejrzane krzaki. Piętnaście sekund później nastąpił wybuch miny.

Jego ludzie chcieli od razu rzucić mu się na ratunek, lecz on znalazł w sobie dość siły, żeby krzyknąć do nich, by się nie ruszali z miejsca. Podniósł się z trudem, co łatwo zrozumieć, i stwierdził, w jakim jest stanie: miał paskudną, głęboką ranę na prawym udzie, spaloną połowę twarzy, a prawe ramię zwisało bezwładnie, trzymając się ledwo, ledwo na ścięgnie albo czymś

w tym rodzaju.

Kiedy wydostał się z zarośli, posuwając się rzecz jasna z olbrzymim trudem, prawie że martwy (ale i tym razem wyszedł z tego cało, bo Polacy są twardzi, zwłaszcza gdy wyciągną na loterii szczęśliwy los), pierwsze słowa, jakie wypowiedział do świeżo przybyłego z Francji głupka, brzmiały:

– No i co, chciałeś chłopaków władować w te chaszczce?

Jeden z legionistów wyciągnął broń i przyłożył lufę do głowy przysłego dowódcy, który uszedł z życiem tylko dlatego, że w nadludzki wręcz odruchu Stanislas znalazł w sobie jeszcze dość siły, by w ostatniej chwili odsunąć broń. Uczynił to lewą ręką.

Ponieważ tylko on był ranny, więc wysoko postawieni mędracy z kwatery głównej uznali, że nie opłaca się wysłać po niego helikoptera. Stanislas to rozumiał. Dlatego musieli iść pieszo przez ponad dwadzieścia kilometrów. Kiedy szli w tamtą stronę, omijali utarte szlaki właśnie w obawie przed minami, ale teraz nie mieli wyboru, nie było mowy o transportowaniu ciężko rannego tą samą wijącą się przez zbity gąszcz ścieżką. Bez wahania i bez lęku wszyscy jego ludzie na ochotnika zgłosili się, by torować drogę: zmieniali się na czele konwoju, idąc czwórkami, trzymając się pod ręce, zajmując całą szerokość drogi, wyprzedzając o dziesięć metrów tych, którzy nieśli nosze. „Jeśli wpadniemy na jakąś minę, to trudno, chodzi o to, żeby szef się z tego wykaraskał”. I chociaż musiał w tym czasie odczuwać inne rzeczy związane z cierpieniem i przyszłością, to jednak Stanislas znalazł w sobie dość siły, by wzruszyć się tym pięknym braterskim gestem. Ta siła wypełniała go całego. Odgłos kroków, który dochodził do niego z przodu, ciężko dudniąc ziemią, to oznaczało, że towarzysz broni ryzykuje dla niego swoje życie. Po pokonaniu dwudziestu kilometrów, które wydawały im się setkami, jakby przeszli całe Indochiny, wreszcie umieścili go w karetce, a ta zawiozła go w końcu do oddalonego o blisko

dwieście kilometrów szpitala.

W tym samym czasie w Sidi Bu-l-Abbas Marcelle Amoyel spacerowała z dwiema przyjaciółkami po boulevard de la République. Zbliżało się już południe, miała pomóc wujkowi w restauracji, pewnie się trochę spóźni, aby obsłużyć pierwszych klientów. Jej bladoniebieska sukienka była mocno dopasowana w talii, a ona wyczuwała na sobie kątem oka wzrok młodych mężczyzn. Bawiło ją to.

W tydzień po wybuchu miny w szpitalu w Sajgonie z oficjalną wizytą u Stanisława zjawił się marszałek Juin, który odznaczył go Krzyżem Wojennym i Medalem Wojskowym Zamorskich Teatrów Operacyjnych. (Kiedy już wróci do Francji, zostanie kawalerem Legii Honorowej). W szpitalu został jedynie przez dwa tygodnie, tak jakby chodziło o drobne komplikacje po operacji wyrostka robaczkowego, i wyszedł stamtąd podreperowany, lecz tylko z jedną ręką, a już po miesiącu umiał pisać lewą ręką prawie równie dobrze, jak kiedyś prawą. Podobnie z wiązaniem sznurowadeł, chociaż ciężko to sobie w ogóle wyobrazić. Wypracował też nad wyraz zmyślną technikę, która pozwalała mu posługiwać się jedną ręką zapalkami tak, aby móc palić swoje gauloisy. Trzeba patrzeć przed siebie i myśleć o tym, co pozostało jeszcze do zrobienia, i nigdy nie oglądać się za siebie. A do zrobienia miał jeszcze bardzo wiele rzeczy.